Cena 50 gr.

Przyjaciel PSA

MIESIĘCZNIK

Rok I | Styczeń 1936 | Nr. 1

Redakcja „Przyjaciela Psa", począwszy od numeru następnego, wprowadza „Skrzynkę do listów", w której w miarę możności udzielać będzie odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące hodowli psa.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Gentleman i zwierzę

Znakomity monologista, Leon Wyrwicz, ma psa, do którego zawsze mówi per „wy". A więc: „Niki, że się też nie wstydzicie!". Albo: „Niki, postarajcie się, aby na przyszłość nie było powodu do skarg!". Albo: „Niki, bo ściągniecie na siebie sankcje!". I t. d. i t. d. O ile przedtem ów Niki okazywał absolutny brak ambicji, nie reagując zupełnie na wszelkie apostrofy w trybie rozkazującym liczby pojedyńczej, o tyle obecnie, podniesiony o jeden stopień wyżej w hierarchji społecznej, zachowuje się comme il faut, stosunki zaś jego z chlebodawcą są wręcz wzorowe.

Kto wie, czy w tem istotnie oryginalnem nastawieniu Wyrwicza nie wypada nam stwierdzić postępów zasadniczej ewolucji stosunku człowieka do zwierzęcia, do natury wogóle? Pewien uczony jezuita, ks. Kosibowicz, pisał niedawno, że ten stosunek jest zanadto rzeczowy i równocześnie zanadto „pański". Takiej relacji nie da się utrzymać na dłuższą metę, ponieważ coraz bardziej utrwala się przekonanie, że zwierzę nawet w świetle niektórych powiedzeń Pisma Świętego ma słuszne pretensje do jakiejś sumy radości życiowej, do pewnych praw w ramach ogólnego porządku przyrody. Jedną z popularniejszych książek jest obecnie „Wychowanie rodziców" Stekla, lecz napewno przydałoby się w zakresie kynologji jakieś przystępne dziełko pod tytułem „Wychowanie pana". Niezmiernie bowiem rzadko zdarza się, że zwierzę wogóle a pies w szczególności trafi na „pana", odznaczającego się bodaj jaką taką znajomością „savoir vivre"'u w tej dziedzinie.

— — — — — — —

O Walter Scocie mówiono: „He was a gentleman even to his dogs"...

— — — — — — —

Rzucę tu odrobinę kontrastów. Dn. 18 października 1772 r. znakomity kaznodzieja, James Granger, wikary w Shiplake, wygłosił kazanie o dobroci wobec zwierząt. Ważna to data w historji ruchu, zmierzającego do poprawy doli zwierząt, odtąd bowiem duchowieństwo wszelkich wyznań bierze sobie za punkt ambicji, aby przodować na tem polu. Niestety, nie u nas. Nie wiem, jak sprawa ta przedstawia się w innych miastach polskich, jednakże np. w Krakowie usiłowania moje, aby tym problemem zainteresować ogół kleru katolickiego za pośrednictwem najwyższych czynników kościelnych, właściwie spełzły na niczem. Będąc zaś od szeregu lat prezesem krakowskiego Związku Opieki nad Zwierzętami, szczególnie dążyłem do tego, aby bodaj raz na rok, w dzień św. Franciszka z Asyżu, padło z ambon słowo miłosierdzia i dobroci wobec zwierząt. Powoływałem się na przykład Chile, gdzie arcybiskup z Santiago poleca wszystkim proboszczom poświęcić rokrocznie dzień 4 października temu właśnie zagadnieniu. Dopiero w b. r. udało mi się pozyskać dla naszej idei ks. Michalskiego, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, i uczony ten ksiądz w „dniu konia" wygłosił od ołtarza stosowne przemówienie. Rok 1772 i 1935! Chile i Polska!

— — — — — — —

Jeszcze jeden kontrast, silniejszy tym razem. Otóż najnowsza angielska ustawa łowiecka zabrania surowo szczuć zwierzęta w takich warunkach, w których zwierzę nie ma żadnych szans ucieczki. U nas zaś... Biorę wydaną w r. 1927 u św. Wojciecha książkę ks. Niedbała p. t. „Hodowla, wychowanie i tresura wyżła dowodnego" i na str. 86 czytam rozdział o ćwiczeniach z żywym gołębiem: „Podciąwszy więc gołębiowi lotki i związawszy mu nogi, wsuwamy go wyżłowi w kufę (t. j. w pysk), rozkazując „aport". Po kilku powtórkach kładziemy ptaka na podłodze i każemy go psu aportować w rozmaity sposób. (Aportowanie łącznie z bałykowaniem, aportowanie w szybkim biegu, aportowanie z przeszkodami)"... Ładne ćwiczenie, prawda? Jakże cieszyć się musi z wysokości św. Franciszek, patrząc na wyczyny sługi Bożego, ks. Niedbała! I jak wygląda gołąb, symbol Ducha Świętego, po tem aportowaniu! Ohydne! Przecież wyżeł wygniata mu jedno oko po drugiem... I pomyśleć, że dawno, dawno, bo w XVIII w., słynny kaznodzieja polski, ks. Balsam, wyraził się: „kruk nie zna jęczenia gołębiczego"... Nie zna go i ks. Niedbał!

Ale ćwiczeńko z żywym gołębiem to jeszcze bagatela. Na str. 156 czytam bowiem ustęp następujący: „Aby skutecznie dopomóc psu do zduszenia mocnego kota, zaleca się większemi bryłami ziemi, rzuconemi kotowi na łeb, oszołomić go i w ten sposób dać wyżłowi sposobność do zdecydowanego ataku"... Uważajcie, państwo: „Zaleca się większemi bryłami ziemi!". Jeżeli tak zaleca ks. Niedbał, czego możemy wymagać od rozbestwionego furmana, od dorożkarza czy węglarza, od rzeźnika? Albo od oprawcy? Taki jest właśnie nasz stosunek do przyrody, do stworzenia Bożego!

Pamiętam, kiedyś, na wsi u znajomych zobaczyłem w parku jeża. Pokazuję go ogrodniczkowi, a ten powiada: „Jo tego nie wezme do ręki! Już roz dostołem w plecy jiżem! Bronek mnie zwalił tem, bośmy się bawili na pastwisku... Ale mu zaroz oddołem że aż jęknął!"...

Teraz nie wiem, co jest gorsze: czy gołębica, jako przedmiot treningu, czy „większe bryły ziemi" rzucane kotowi na łeb, czy jeż, którym „bawili" się pastuszkowie...

— — — — — — —

Dałem tytuł „Gentleman i zwierzę", ponieważ ile razy wypadnie mi pisać lub mówić o stosunku człowieka do zwierzęcia, stale i za każdym razem myśl moja biegnie ku Anglji. Tak też jest i dzisiaj, gdy przypadł mi honor zabrać głos w pierwszym numerze pięknego i pożytecznego pisma. Przed sobą mam wspaniale wydane sprawozdanie Królewskiego Tow. Opieki nad Zwierzętami, „A Century of Work for Animals" z przedmową prezesa, mianowicie samego księcia Walji, z odą Thomasa Hardy, specjalnie na setną rocznicę napisaną... Piękny tom!

Więc przed stu laty zgórą Walter Scott „był gentlemanem nawet wobec swoich psów", dzisiaj zaś to samo gentlemaństwo można zaobserwować w Anglji u ludzi prostych, u szeregowców angielskich. Weźmy taki wypadek: skończyła się wielka wojna, „Tommy" wraca do domu. A co zrobić z psami, które przypętały się do żołnierzy w rowach strzeleckich? Zostawić je tam? Przenigdy!

Niestety, ustawy angielskie są pod tym względem wyjątkowo surowe. Wiadomo, że nawet dyplomaci cudzoziemscy, przyjeżdżający z kontynentu, muszą poddać dłuższej kwarantannie nietylko psy, ale... rośliny w doniczkach, głównie kaktusy, a to z obawy przed pewną zarazą roślinną, którą mogliby zawlec do Anglji. W tym zaś wypadku idzie o psy z rowów strzeleckich! Nadobitek złego wśród tych psów pojawiła się wścieklizna. Ministerstwo rolnictwa godzi się na przywóz tych psów frontowych, ale jedynie pod warunkiem, że każdy z nich będzie poddany czteromiesięcznej do sześciomiesięcznej kwarantannie, której koszta wynoszą po czternaście funtów od psa. Żołnierze tyle pieniędzy nie mają. A psów nie opuszczą za nic w świecie. Bo ci żołnierze, ci „Tommy", są gentlemenami. Psy żyły z nimi w przyjaźni, na froncie, wiele z nich odniosło zaszczytne rany, i teraz mają zostać w Belgji czy Francji?! Mowy o tem niema!

Przepisy ministerstwa są przepisami, i trzeba się do nich zastosować bezwzględnie. Ale i o psach zapomnieć nie wolno. Zaczyna się więc akcja na szeroką skalę, akcja, w której bierze udział cała armja, począwszy od marszałka Haiga a skończywszy na prostym szeregowcu. Listy żołnierzy, pisane w tej materji do Tow. Opieki nad Zwierzętami, są piękne i wzruszające zarazem. Pisze np. jakiś kapral: „Mój pies należy do rasy nieznanej, ale ma grubo więcej rozumu niż wielu ludzi, których spotkałem w życiu. Był towarzyszem moim i towarzyszem naszego oddziału w najstraszniejszych czasach. Nie możemy go porzucić w dniu pokoju".

Pisze inny kapral: „Znalazłem go w schronie nad Sommą napół żywego i od tej pory dzieliłem się z nim jedzeniem i spaliśmy pod jednym kocem. Jest on tak wiernym towarzyszem i stróżem, że nawet myśleć nie mogę o tem, aby go zostawić, gdy wracam do Blighty" (t. j. do ojczyzny)...

Pisze jakiś szeregowiec z 17-go pułku: „Bardzo proszę, aby państwo zrobili co się tylko da, bo myślę, że on zasługuje na to, aby wrócił ze mną, bo byliśmy razem na wozie i pod wozem, a gdy zostałem ranny i nie mogłem ruszyć się, on siedział przy mnie podczas całego ataku w ciężkim ogniu przez trzy godziny, więc państwo mogą zrozumieć, jak jestem do niego przywiązany"...

I jakiż skutek tych listów? Tow. Opieki nad Zwierzętami nie rozporządza takim kapitałem, aby wpłacić po czternaście funtów od każdego psa, jednakże postanawia poręczyć za żołnierzy w ministerstwie oraz buduje pięćset specjalnych baraków, przeznaczonych na kwarantannę dla psów. Nadto rozpoczyna za pośrednictwem dzienników ogromną zbiórkę na „Soldiers Dog Fund". Miarą ofiarności publicznej jest to, że po zlikwidowaniu wszelkich należytości pozostało jeszcze zgórą 5 000 funtów! Równocześnie płynęły znacznie, znacznie większe sumy na akcję pomocy dla rannych i chorych koni wojennych, czyli na „Sick and Wounded Horses Fund". Bo o koniach pamiętano także.

— — — — — — —

Jeśli już mówimy o psach wojennych w Anglji, zanotować wypada niezwykłą a podobno w stu procentach autentyczną i stwierdzoną dokumentami historję pewnego foxterriera imieniem „Prince". Pies ten zatęsknił za swoim panem do tego stopnia, że kierując się jakąś chyba nadludzką (!?) intuicją, potrafił z Hammersmith przedostać się do... Armentières! Przepłynął kanał i złapał swego pana, szeregowca Browna, we Flandrji! Szczegóły jego wędrówki z Anglji na kontynent pozostały do dziś dnia tajemnicą, ale rzecz sama jest prawdziwa. Prowadził go widać jakiś anioł stróż. Wierny „Prince", niestety, nic nam już nie powie, ponieważ zdechł w r. 1921, jednak historja ta śmiało wejść może na karty Plutarcha psiego. Przedostał się przez kanał la Manche!

— — — — — — —

Myślę jeszcze o kotach i o ks. Niedbale. W Anglji pół wieku temu królowa Wiktorja, gdy pokazano jej projekt „Medalu Królowej", który miał być nagrodą dla ludzi szczególnie zasłużonych w walce z okrucieństwem, oświadczyła, że artysta musi jeszcze uzupełnić grupę zwierząt przedstawionych na medalu i dodać kota. Wyraziła się przytem, że właśnie kto jak kto ale królowa sama powinna zwalczać pogardę i antypatję do kotów. Umieszczenie zaś kota tuż obok wizerunku monarchini stanowczo okaże się skutecznym sposobem.

Niemniej w Anglji gładzi się koty masowo, tysiącami. Samo Tow. Opieki uśmierca np. w Londynie rokrocznie kilkadziesiąt tysięcy kotów, oczywiście w sposób bezbolesny i pozbawiony wszelkich cech okrucieństwa. Idzie poprostu o usuwanie nadmiaru tych zwierząt.

U nas zaś w r. 1927 „zaleca się" większemi bryłami ziemi rzucać na kota...

A no, co kraj, to obyczaj...

MARJAN HEMAR

Kanegiryki i elegje o prawdziwych pieskach

G w o ź d z i k

Gwoździk był sentymentalny po końce obwisłych uszu,
Był cienką czarną struną straszliwie napiętej miłości.
Bezładnem szaleństwem ogonka, spojrzeniem z czarnego pluszu
Napróżno próbował sprostać cudownej twej obecności.

Wszystek był tylko poto, żeby przy tobie siedzieć,
Żeby się patrzeć na ciebie, żebyś go brała na ręce.
Gdyby umiał rozmawiać — nicby nie mógł powiedzieć,
Tylko, że ciebie kocha. Nic więcej, nic więcej.

Lecz ty go jakoś lubiłaś niebardzo. A on to rozumiał
I gryzł się — może dlatego dziś po nim płaczesz z miłości.
Gdyby to wiedział, napisałby taki do ciebie list (gdyby umiał):
„Jakie to szczenście rze mnie ukradli
Z koro hoć za to mnie kohasz —
Twuj
Gwoździk".

J a c u ś - m a l u t e k

A Jacuś znowuż był hardy
I aroganta kawał.
Nie, żeby państwa nie lubił.
Lubił.
Tylko się głaskać nie dawał.

Gdy się go chciało pogłaskać —
To za karę uciekał.
Kiedy pani wracała do domu —
Trochę tam zawsze poskakał
Z radości.
Ale nie szczekał.

Czasem, gdyśmy siedzieli w kącie
I szeptali o swoich strapieniach,
Przybiegał —
Niby zupełnie przypadkiem —
I kładł się u twoich nóg.
A myśmy szept przerywali
I mrugali na siebie ukradkiem,
Że tak przyszedł. Żeby nie spostrzegł.
Boby zawstydzić się mógł.

A pewnego dnia, od rana —
Jakby go odmienili!
Gramolił się sam na kolana,
Weselił się, czulił się, milił,
Pantofle żartem obgryzał,
Do lustra sztywnie się wdzięczył,
Aż się okropnie zmęczył
I nagle — pamiętasz kochana?
Po ręku cię nawet polizał!

Cóż to była za radość!
Jakaż była pociecha!

I tego dnia, wieczorem,
Samochód go przejechał.

Pochowałaś go w nocy
Pod krzakiem w ogródku.

Mało jest ludzi, o których myślę tak często
Jak o Jacusiu - malutku.

S n o b i

Snobik był całkiem nieznośny.
Ale każdy najbardziej go lubił.
Nie było w domu nikogo, co nie płakał głośno,
Kiedy Snobik się zgubił.

Właściwie nie wiedzieć jak — zawsze był taki niegrzeczny!
Może gdzie pognał i sam już nie umiał wrócić?
Może uciekł, bo zląkł się, że znów co przeskrobał?
Może go zabrał kto, bo wszystkim się przecie podobał...
Dosyć, że zniknął. O mój Boże serdeczny!

Jakżeśmy go szukali!
Na Wołówce, na Kercelaku —
A nigdzie ani znaku!
Jakżeśmy się nalatali!
Do rakarza, do wszystkich handlarzy psów,
Żeby odnaleźć, żeby odkupić, żeby w domu był znów!

Wszyscyśmy potem po sobie patrzali z wyrzutem,
Każdy miał żal do drugiego, że nie pilnował Snobika.
Każdy siadał do stołu z sercem żałością strutem,
Że zabrakło nieznośnego promyka.

Daliśmy kilka ogłoszeń w „Kurjerze", potem coraz to jakieś kobiety dzwoniły.
Przyprowadzano nam różne pieski zgubione.
(Smutny ruch w domu się zrobił).
Niektóre bardzo miłe... właściwie każdy piesek jest miły.
Ale co Snobi, to Snobi.
A długo potem — już nawet zaczął przycichać żal —
Znalazła Snobika jakaś dobra wróżka - staruszka.

Snobi był bardzo znędzniały. (Wałęsał się koło Hal).
Był schudły i brudny.
Ach — nikt nie zna psiego serduszka!

Kiedy pierwszy raz znowu zobaczył panią,
Pani zbladła z wzruszenia, — siedziała na brzeżku kanapy, —
Piesek rzucił się ku niej, nie dał się tknąć, wtulił się za nią,
Wyprężył łapy

I tylko dygotał. I po tem poznać było, że wogóle żyje.
I tak jakoś mówił: „Już jestem! Już jestem. Już jestem b e z p i e c z n y.
Już nie otworzę oczu, bo jeśli to nie jest prawda,
To chyba mnie rozpacz zabije!".

Ale na drugi dzień już był znowu okropnie niegrzeczny.

J o h n

John ma oczy brązowe,
Czyste jak ludzkie sumienie.

(W tej chwili przekrzywił głowę
I oparł o mnie spojrzenie,
Bo usłyszał, że pisząc szepnąłem:
John).

Przeciągnął się, śliczny i duży,
Położył się na uboczu
I ze mnie, w którym wierszami
Wieczór wiosenny się burzy,
Uważnych nie spuszcza oczu.

Kochamy się, nieinaczej,
Lecz istotą naszego stosunku
Jest ufność wzajemna raczej
I skarb wzajemnego szacunku.

Nie daj Bóg, żebym go kiedy
Uderzył niezasłużenie —
Nawet nie z całej siły,
Ale gdy nie zasłużył.
Podniósłby na mnie z głębi dobroci
Czyste, zdziwione spojrzenie.
Jużbym oczu tej nocy ze wstydu
Nie zmrużył.

P u m a

Wierna starucha Puma
Chodzi po domu, duma.
Nie służy byle tam komu.
Wie, jaka ważna jest w domu.

Ktoby pomyślał, że w nocy
Grzebie dziurę pod parkanem
I wybiega na pole i zajączki dusi!
Potem wraca zziajana,
Pokrwawiona, nad ranem —
Tłuką ją. (Jak ją tłuką!). Ale Puma musi.

Przykro świszcze rzemień ogrodnika!
Dobrzy ludzie! Przecież Puma nie psoci!
Może musi być po nocy dzika,
Żeby mogła w dzień wytrwać w dobroci?!

Teraz kładzie się płasko na ziemi,
Patrzy w oczy oczami ciemnemi —
„Ludzie dobrzy, — powiada, — na duszę!
Przecież mam już jedenaście lat,
Kopę dzieci wydałam na świat,
Harowałam, służyłam,
Swoje w życiu zrobiłam,
Już wnet posłużę Bogu,
Już mi nie brońcie nałogu —
Gdy muszę!"

V o s s

Tak jak Voss — tak właśnie powinien się ruszać, tak właśnie wyglądać
Prawdziwy dżentelmen - pies: na ulicy, w parku, w pokoju.
Nikomu nie przyszłoby na myśl jakiej sztuczki od Vossa zażądać.
Jakiegoś tam podawania łapki, albo służenia. Voss jest psem innego pokroju.

Pan Vossa jest zakochany w nim nieszczęśliwie,
Bo Voss nie doznaje uczuć gwałtownych — jest wierny, lecz chłodny.
A w panu miłość się pali.
Pan chciałby gryźć się z nim, tarzać. Chciałby przemóc chłód psa. Właściwie
Obaj są biedni. Obaj się nieodpowiednio dobrali.

Chodzą na spacer, poważni, czasem spojrzą na siebie zukosa,
I w obu ściskają się serca, i bezradnie idą na obiad.
Voss cierpi — nie może być inny. A pan ma kompleks Vossa —
Pije, zabija się pracą, szuka miłości niewiernych kobiet.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

O psach w Spale

Dwór, gościnnie otwarty — przed zajazdem spalskiego pałacu wygrzewają się na słońcu psy. Cisza. Lato w pełni, a godzina właśnie popołudniowa, gorąca, przepojona brzękiem złotych strun powietrza.

Muchy nie dają Sartowi spać. Sart, gryfon o ostrej, pokudłanej sierści, brunatny w siwe łaty, o mądrych ślepiach i wyrazistej mordzie, leży na stopniach wejścia, przygląda się leniwie wartownikowi, który nieruchomo a nieustannie



fot. Janta-Połczyński

Pan Prezydent z psami w polu

sprawuje straż przed tym dworem, i wspomina przeżycia dzisiejszego rana, kiedy to polował, brodził i bobrował w przybrzeżnych szuwarach, w mokradłach i w leśnych stawach, płosząc przejściem swojem tu i owdzie kaczki. Waliły się już z powietrza na odgłos szybkiego stuku wystrzałów znad brzegu. Przynosił je, wyszukiwał gdzie spadły, aportował z przyjemnością łowczego zwierza, w którego całem ciele drga radosna i niespokojna namiętność.

I teraz niewyraźnie, ledwo świadomie czeka znanego już przebiegu zdarzeń, który poprzedza wyjazd — wyjazd na polowanie. Kiedy strzelec Staś, zjawia się ze smyczą. Kiedy w hallu zaczyna się przyjemna i tyle obiecująca krzątanina. I wreszcie wolnym krokiem scho-



fot. Pikiel

Nieżyjący już Lord, Tymek i Rebus

dzi Gospodarz. Na Niego wszyscy czekali. Pies nie jest wybuchowy, a chociaż już wibruje niepokojem, wciąż jeszcze trzyma się pełen opanowania, raczej stateczny i godny. Ale teraz już trudno się opamiętać. Cały pochłonięty myślą i nadzieją bliskiej wyprawy, rozumie nagle jej sens poprzez przywiązanie i świadomość związku z tą wysmukłą postacią o siwej głowie, która właśnie ubiera się do wyjazdu. Więc zanim zajmie swoje miejsce w samochodzie, jeszcze się panu u nóg łasi i do rąk ukochanych garnie...

Teraz wspomina tylko. Od głębi dworu cisza. Ale z głębi ogrodu jawi się psia czereda, aby zająć miejsce przed zajazdem, który na trawie, a który na piasku rozgrzanym. Nie minęło kilkunastu minut, są wszystkie.

Cała psia kompanja spanjeli, dobranych rozmaicie, ale naogół zgodnie z sobą współżyjących. Przybiegła gryfonowi dotrzymywać towarzystwa. Pogodził się z tym faktem bez entuzjazmu. Czują się tutaj u siebie. Jak przed każdym polskim dworem (prawie jakgdyby pragnęły przydać mu swojskich cech), leżą, ziewając w słońcu, już teraz łagodniejszem pod wieczór.

Pokolei spróbuję je przedstawić. Oto Tymek! O grzbiecie czekoladowym, spodzie białym, cały trochę łaciasty, miła morda z uszami zwisającemi ozdobnie, puszysto, przepysznie a kędzierzawo, niby sute obramowanie łebka, z którego wynika tak nieraz dziwne u spanjeli podobieństwo do portretu Jana Kazimierza w siwej wełnie peruki.

Tymek, własność Pani Prezydentowej, o sierści jedwabistej i długiej, posiada nadobitkę osobliwy dowód rasy w postaci zabawnego wicherka na czole, loku, który mu nadaje charakter psa z czubkiem i zdolność strojenia min bardzo pociesznych. Ten kosmyk, jakby zadatek na czuprynkę, ma być dowodem wysokiej rasy psa. Jest zresztą po kądzieli z gniazda cockerów królowej Marji Rumuńskiej, gniazda szczególnie dobrego, które pono walnie przyczyniło się do powszechności i niejako mody, jaka na psy tego rodzaju zapanowała w świecie miłośników i znawców.

A dalej Nana [1]). Zaraz obok Tymka. Rozkoszna psina, czarna à la srebrny lis, czarna z granatowym odcieniem i siwemi na ciemnych włosami. Odznacza się talentem do akrobacji i cudownie wesołem usposobieniem. Piruety potrafi wyczyniać, skoki przedziwne, ni to gimnastyka, ni to taniec, a wszystko z własnego temperamentu, z własnej woli, z prawdziwego amatorstwa. Nieuczona przez nikogo, posiada już widocznie wewnętrzne powołanie w tym kierunku. Może byłaby gwiazdą w cyrku?

Wyszliśmy kiedyś z otoczeniem Pana

[1]) Własność p. majorowej Gużewskiej.

Prezydenta na spacer na łąkę za pałacem, gdzie się przygotowuje właśnie budowę lotniska. Trzeba było widzieć Nanę, jak goniła po łące, wszystkiemi czterema łapami skacząc w powietrze jak królik, kiedy jej było rzucić jakiś drobiazg — aport! Jak się przez siebie potrafi przekoziołkować, przeskoczyć, zwinąć, przerzucić — hop, hop, hopsasa i znowu zwrot i znowu skok w powietrze, jak świeca i skręt i przerzut i bieg...

A w rowie na pół metra głębokim, przekopanym przez łąkę, aby ją osuszyć, na samem dnie, w wodzie położył się i wchłania z rozkoszą chłód w gęste kudły Joy [2]), którego poznałem przed rokiem w Ameryce. Leży, wyciągnąwszy wszystkie cztery łapy, jak żaba, na brzuchu. Potem napróżno próbuje wyskoczyć z tego małego wąwozu o stromych ścianach, z których obsuwa się ziemia przy każdej próbie oparcia. Za ciężki. Więc mu dopiero ręką, za skórę na grzbiecie chwyciwszy, dopomóc trzeba. Wylazł na powierzchnię i odwdzięcza się nam wszystkim deszczem błota i wody, wytrząsanym z gęstych kudłów, bardzo z siebie zadowolony. Włos ma kasztanowaty z ty-



fot. Janta-Połczyński

Tymek

cjanowskim połyskiem. Inaczej mówiąc, jest ryży, z białą kamizelką i z białemi łapami. Dopiero co wrócił z Waszyngtonu. Jedno zdążył tam stwierdzić: głęboką i żywiołową niechęć do murzynów. Jest pozatem leniwy. Lubi głębokie fotele, pakuje się na nie bez ceremonji i śpi w nich bardzo pociesznie. Z całego towarzystwa on właściwie najwygodniejszy. Kiedy podniesie łeb a zwiesi uszy, albo je podciągnie i cały pysk namarszczy, pół groźnie a pół komicznie, albo kiedy biegnie wiewając płatami uszu — zdają się być niby skrzydła wokół mordy, albo raczej płetwy u pięknych, szlachetnych rybek. Jak falujące, ozdobne wisiory, gdy niemi trzepocą w wodzie dostojne i zachwycone sobą.

Wkońcu Rebi [3]) (Rebus nie Rebeka). Trochę outsider, trochę mniej społeczny niż cała reszta. Łobuz, czekoladowy w białych portkach, z grzywą zwiewną dokoła łap, miękką a wyczesaną wtył wia-

[2]) Własność p. Józefowej Mościckiej.
[3]) Własność p. Ministrowej Bobkowskiej.

trem i stroszącą się jak czasem u seterów.

Własnemi drogami chodzi, własnemi poluje. Amator jest, zdaje się, bażancich piór — piór tylko, bo mu pewno niewiele więcej w pysku zostaje, choćby naszedł młodego koguta — jeżeli zważyć w dodatku, że łapy ma krótkie i że o króliku mowy być nie może. W sensie dogonienia, nie żeby ich nie było w spalskim parku.

Toteż zdarza się, że wraca obłocony, mokry od rosy, trochę zmieszany, nie przyznający się gdzie był i nieśmiały, kiedy go o to pytać. Uwielbia wodę. Ma płetwy między palcami u łap jak ziemnowodne stworzenia. Aportuje wyśmienicie. Potrafi — najbardziej z wszystkich samodzielny — w pysk wziąć miskę i upomnieć się o wodę albo o swoją porcję, kiedy jest głodny. Wie, że niepodobna mu w takim wypadku niczego odmówić.

Mają swoje między sobą sympatje, przyjaźni, stosunki lepsze lub gorsze.

Tymek i Nana zwłaszcza. To są sprawy bardzo poważne. To już poprostu miłość. I oto Tymek, rozkapryszony trochę, egoista, bardzo pański i zgóry patrzący na resztę towarzyszy, nagle zmienił się pod wpływem spraw, jakie zaszły między nim a Naną. Stał się przystępny i miły — dla niej jednej czyniąc ten wyjątek, bo tylko dla ludzi umiał być przedtem przyjacielski i wyrozumiały, a wobec psów najwyżej zazdrosny o ludzkie względy. Teraz pozwala jej nawet jeść ze swojej miski — rzecz przedtem nie do pomyślenia.

A pozatem nadal króluje reszcie towarzystwa, choćby z racji tego wicherka, który jakby był widomym znakiem jego bujnej wyobraźni, kaprysów i bezwzględnego wdzięku. Naprzykrza się, upomina o swoje prawo pierwszeństwa do pieszczot, do uwagi i uczuć.

Czarująco pocieszna kompanja. W czasie obiadu nieraz spomiędzy biesiadników ukaże się nagle miły łeb psa, który już przedtem szturchnięciami nosa pod stołem próbował przypomnieć o swojej obecności i upomnieć się o jakiś materjalny znak sympatji. Celuje w tem zwłaszcza Nana. Pan Prezydent nie gniewa się. Przeciwnie. Psy, jakby znały Jego zawsze przyjazny uśmiech, wrodzoną dobroć serca i łaskawość ręki, garną się i ukazują łeb zazwyczaj właśnie tuż obok miejsca, jakie przy stole zajmuje.

Ale Lorda już niema w Spale. O tym ulubionym psie Pana Prezydenta, zmarłym na wiosnę ub. r., trzeba słów kilka wspomnieć. Widziałem Lorda jeszcze zeszłego roku. Każdy, kto go znał, przyznać musi, że pies był wyjątkowy.

Psy są równie różne jak ludzie — powiedzieliśmy sobie kiedyś w Spale w rozmowie o psach. Więc się i wśród nich znajdzie i zdarza okaz ponadprzeciętny, niezwykły. Trafi się taki charakter, taka psia indywidualność, zróżniczkowana silnie, wyższa gatunkowo i osobowo nad inne, a przytem doskonale świadoma swego miejsca w społeczeństwie ludzkich istot. Przywiązuje się więc do jednego człowieka — bez patosu, bez przesady,



fot. Janta-Połczyński

Sart z kaczką w pysku

bez zbytnich czułości, przywiązuje się po męsku, nie słuchając nikogo pozatem, jakby odmawiał innym autorytetu i kompetencyj, jakby znając prawo wyłączności, jakiemu muszą być poddane wszystkie silne uczucia. Staje się wzorem przywiązania i wierności. Innych darzy wyrozumiałością, dobrotliwie ale wyniośle, i z pewną dozą politowania, tyle tylko kładąc wysiłku w odpowiedź na cudze pieszczoty i przymilania się, aby przykazania gościnności domu, w którym mieszka i który do pewnego stopnia reprezentuje, nie wystawić na próbę.

Tak się nazewnątrz objawia osobowość zwierzęcia, tak wypowiada się przez niego już nie instynkt czy intuicja, ale inteligencja. Szukamy przecież ciągle w zwierzęcych naszych przyjaciołach odpowiedników cech, mogących dać się podciągnąć pod kategorje ludzkiej psychologji, ba nawet pod nasze prawo moralne. Zdziwienie nas i podziw i nieśmiałość ogarnia w rezultacie na widok cnót bohaterstwa, bezinteresowności, szlachetnej dumy, wynikającej z poczucia godności własnej, jeżeli są związane z charakterem, a tem samem wciągnięte być muszą w charakterystykę nie ludzkiej, ale psiej indywidualności.

Ta sama wartość, jaką cenić pragniemy w ludziach, odkryta jako czysty i niewiadomo skąd się biorący rezultat jakichś doświadczeń, jakichś przemyśleń, jako owoc wewnętrznego rozwoju (bo niepodobna przecież wszystkich tych cech przypisać wyłącznie tylko instynktowi, wartościom przyrodzonym, a nie nabytym), budzi w każdym, kto się z objawami tego rodzaju zetknął, uczucie już nietylko zdumienia, ale nawet — szacunku.

I na tem tle dopiero może być mowa o zupełnem porozumieniu, jakie między człowiekiem a zwierzęciem potrafi się dokonać bez słów, budząc w człowieku to przywiązanie, jakie w sercu samotnem nieraz wypełnić potrafi pustkę, zastąpić i zaspokoić potrzebę ciepła i uczucia.

Te są refleksje spowodu Lorda, ukochanego psa Pana Prezydenta. Psa, który czuł się Jego własnością, a tem samem uznawał tylko jednego pana. Opowiadano mi w Spale, że nieraz kiedy Pan Prezydent wyjeżdżał do Warszawy a Lorda nie zabierał — pies, skądinąd zupełnie pozbawiony afektacji, spokojny i opanowany, zamieniał się nagle w jakąś postać skamieniałą, kamienną, w jakąś psią Niobe, pełną milczącej rozpaczy. Nieruchomo leżąc, nie patrząc i nie chcąc jeść — wył. Wiadomo, z tęsknoty. U psów, jakby pod wpływem bliskiego pożycia z ludźmi, tęsknota potrafi czasem dojść do niezwykłego napięcia i doprowadzić do objawów szczególnie jaskrawych, dramatycznych nieledwie.

*

O mądrym psie, tak jak o człowieku, warto napisać książkę. Naprzykład na temat Lorda. Jest już dzisiaj ze względu na pamięć, jaką zostawił, i liczne o nim opowiadania, jakie dokoła Zamku warszawskiego równie dobrze jak w Spale krążą na jego temat — psem w poszukiwaniu autora. Wspomnienie przedłuży mu byt. Wspomnienie o pięknem rasowem stworzeniu — podwójnie zajmujące i niezwykłe: po pierwsze — ze względu na pana (tytułem i książką „Pan i jego pies" Thomas Mann na planie literackim związał w nierozdzielną całość to co całością jest jako życiowe zjawisko: wzajemny stosunek psa i pana), a po drugie — ze względu na siebie, na swoją psią indywidualność, która z niego czyniła zwierzę godne, bo świadome najpiękniejszych, czysto ludzkich cech i wartości pana.

MAGDALENA SAMOZWANIEC

Sąd Salomona Crawforda

Evans Smith, żona Mackintosha Smitha była istotą raczej szczęśliwą. Miała do swojej dyspozycji dobrze zarabiającego męża, auto, „baby", śliczną nurse do „baby" i dwa ukochane syberyjskie charty. Harold Smith, syn miljonera, grywał codzień z Evans w tennisa. Któregoś dnia, gdy wracali pod wieczór z cortów, Harold zapytał się nieśmiało:

— Czy mogę pocałować cię mój miodzie („honey")?

— Dobrze, ale gdzie? — odparła Evans.

— To miejsce jest świetne, uważam — rzekł Harold, prowadząc ją do ławki otoczonej krzakami bzu.

Pocałunek w Ameryce jest ślubem dla czystych mężatek toteż oboje przysięgli sobie pocałunek dozgonny.

— Ale czy Mack zgodzi się na rozwód? — zaniepokoiła się Evans.

— Zgodzi się napewno — odparł syn miljonera.

— Hallo Mack! — zawołała Evans, wchodząc do pokoju męża. — Rozwodzimy się! Wychodzę zamąż za Harolda Smitha!

— All right — odparł Mack i odrazu zadzwonił do znajomego adwokata Salomona Crawforda.

Podział majątku państwa Smith odbył się w najzupełniejszej zgodzie.

— Baby oczywiście zostanie przy mnie — rzekła Evans, a widząc wydłużoną minę męża, dodała szybko: — Zostawię ci zato nurse, dla baby jest ona stanowczo za młoda.

— Yes — uśmiechnął się szeroko Mack.

— Ja wezmę stolik do bridża, a ty zatrzymasz karty.

— Aoh! — ucieszył się Mack.

— Auto zostanie przy mnie. Był to prezent od ciebie a prezentów nie wypada nikomu odstępować.

— Yesss — zasmucił się Mack.

Rozwód był na najlepszej drodze, i Evans z Haroldem szukali już po New Yorku miłego mieszkanka, gdzieby mogli „całować się dozgonnie".

Nagle, można powiedzieć, jak graty z jasnej szafy, spadła na nich niespodziewanie kwestja psów.

— Dobrze, ale co będzie z psami? — zapytała męża któregoś dnia Evans. — Przecież Palmers i Company nie mogą być rozdzieleni, to jest jedno z najbardziej kochających się małżeństw wśród naszych bliskich.

— Psy zostaną przy mnie — odparł stanowczym głosem Mack. — Ty masz Harolda — dodał ponuro.

Oczy Evans zaszły łzami.

— Co to ma jedno do drugiego? Harold nie może mi zastąpić moich psów. Trudno żebym męża traktowała jak psa, to znaczy żebym z nim ganiała po ogrodzie, bawiła się na dywanie...

— Bawiła się na dywanie... — w zamyśleniu powtórzył Mack — a ja słyszałem że w niektórych domach... że niektóre małżeństwa...

— Pozatem psy są tak przywiązane do mnie... — dodała Evans, wycierając nos.

— Niech więc adwokat rozstrzygnie — rzekł grobowym głosem Mack, podchodząc do telefonu.

Mecenas Salomon Crawford przybył jak mógł najszybciej i zastał państwa Smithów siedzących na przeciwległych rogach salonu, załzawionym wzrokiem wpatrzonych w oba charty bawiące się rękawiczką pani domu na środku salonu.

— Dear Crawford — zaczął Mack, — niech pan nam poradzi co robić? Moja żona nie chce mi zostawić tych psów, a ja nie mogę zostawić mojej żonie tych... tych psów. Zanadto jesteśmy do nich przywiązani oboje.

— Hmm, a czy nie możnaby ich rozdzielić: suczkę zostawić panu a psa pani?

— Wykluczone! — żywo zaprzeczyli oboje — to jest jedno z najbardziej kochających się małżeństw w U. S. A.

— Wobec tego, — rzekł po chwili zastanowienia adwokat, — niema innej rady tylko psy same muszą rozstrzygnąć, do którego z was obojga chcą należyć. Państwo tak jak siedzicie na przeciwległych rogach salonu równocześnie zawołacie na psy po imieniu. Do kogo psy pierwej przybiegną, ten stanie się ich właścicielem.

— Świetnie! Znakomicie! — zawołali państwo Smith.

— A więc zaczynamy! Na „raz" państwo rozsiądą się wygodnie, na „dwa" otworzą usta, na „trzy!" zawołają jednogłośnie psy po imieniu.

— Palmers! Company! — zabrzmiało jednocześnie z dwóch przeciwległych stron.

Charty machnęły ogonami, spojrzały na pana, później na panią, wykonały kilka susów w stronę Evans, potem podskoczyły w stronę Macka, wkońcu wróciły na swoje miejsce na środku salonu, szczekając rozpaczliwie.

— Palmers tu! Company do mnie! — wołali państwo Smithowie z wypiekami na twarzach, ale psy nie ruszyły się z miejsca, i tylko żałosne „uał! uał!" wydobywało się z ich otwartych paszcz.

Małżeństwo spojrzało po sobie — psy uspokoiły się i w pozie sfinksa z wyciągniętemi naprzód łapami, uśmiechały się do swoich państwa, dyszącemi pyskami. Pierwszy odezwał się Mack.

— Droga Evans — rzekł. — Czy nie poświęciłabyś się dla naszych kochanych zwierząt i czy nie zostałabyś przy mnie? Sama widzisz, że nie można ich pozbawiać towarzystwa jednego z nas, są tak do nas obojga przywiązane. Company, bez mojego codziennego drapania ją w brzuszek, wyobrażasz to sobie?

— A Palmers! Czy myślisz że tybyś potrafił przyprawiać mu taką zupkę jaką on lubi? To potrafi tylko kobieta — westchnęła Evans.

— Słowem, — rzekł z poczciwym uśmiechem Salomon Crawford, — państwo wstrzymują kroki rozwodowe?

— Yesss — szepnęła Evans, a Mack z radością przytaknął temu „yes" głową, po chwili zaś dodał:

— Proszę cię Evans, bądź tak dobra, zadzwoń do tego kochanego Harolda i wytłumacz mu w delikatny sposób że narazie z waszych matrymonjalnych projektów nic być nie może... Aha! — i zaproś go na naszą niedzielną party, niech wie, że nie mamy najmniejszego zamiaru zrywać z nim bliższych stosunków.

MARJUSZ DAWN

O przytułkach dla psów i zawiłych drogach miłosierdzia



Wejście

NIEUDANY KUNDEL

Dopóki Fifka wychodziła na spacer z Panią albo ze służącą — wszystko było jaknajlepiej. Żyła dwa lata w celibacie, i na złość reformatorom seksualnym stan panieński sprzyjał jej zdrowiu i szczęściu. Ale nagle Panu zachciało się wyprowadzać pieska. Że kobiety są nieuważne, że piesek wraca zziajany, że ruch wzmógł się na Suchej, że djabli wiedzą co. No i stało się, że po dziesięciu tygodniach tej męskiej opieki Fifka, Chinka czystej krwi, urodziła dwa kundelki: Zulę i Białego.

Tylko zimny snob może twierdzić, że uroda jest wyłącznym przywilejem psów rasowych. W istocie niema nic piękniejszego niż kundelek, który się udał. Taką właśnie pięknością jest Zula. Ma oczy pekińczyka, sierść spanjela, aerodynamiczne kształty pinczerka. Jeżeli kto woli jamniki lub nowowynalezione psy-kanapy, toczące niezgrabnie pakę czarnych kudłów, spod których nie widać oczu, to znaczy, że ponad piękno przedkłada dziwaczność. Ale dlaczego w takim razie Biały nie znalazł swego amatora? Poprostu dlatego, że los nie zetknął go z psim impresarjem, któryby go odpowiednio „podał", opisał, zakwalifikował i umiejętnie rozmnażając, „zachował w typie". Gdyby Biały miał to szczęście, nazywałby się może Piggy i leżał na kolanach elegantki w Rolls Royce'ie.

Biały jest długi jak jamnik i jak on przednie nogi ma wygięte, lecz tylne, niestety, proste. Pyszczek płaski, jaszczurczy, oczy wąskie i skośne, nie jak pies pekińczyk, ale jak człowiek Chińczyk, uzębienie szczupaka, ogon zaś zawiązany na dwa supełki, jak to się widuje u świnek Disneya. „Funny isn't he?" mówiliby Anglicy, gdyby Biały był w psim katalogu. Ale o czem tu marzyć...

Pan nie uważał za stosowne ponieść konsekwencji swego czynu i słyszeć nie chciał o zatrzymaniu Białego. Pan cały dzień mizdrzy się do Zuli. „Dobra Zulka, kochana Zulka". Z Zulką się jada, z Zulką się śpi. Biały, choćby cały dzień siedział w kącie, „wiecznie plącze się pod nogami". Fifka, czuła matka dla Zuli, Białego gryzła i nie chciała go karmić, a gdy podrósł, odpędzała go od miski. Taki już był od urodzenia: samotny, wyklęty, nieufny. Tylko Panią lubił widać bardzo, bo chociaż nie miał bezczelności Zulki, która pcha się nieproszona na stół, na kołdrę, pod kołdrę — to jednak wystarczało, aby Pani wzięła go na ręce, żeby jej wtulił łeb pod pachę i trwał tak nieruchomo z zamkniętemi oczami, drżąc na całem ciele, gdy ktoś zbliżał się do krzesła. Ale że nie można przyzwyczajać do siebie psa przeznaczonego na oddanie, więc i Pani unikała Białego. Wreszcie oddano go żonie szofera. Dlaczego jej właśnie — to jest też zasługą Pana. Jeszcze w ostatniej chwili Pani tknięta złem przeczuciem chciała go zatrzymać. Ale Pan uparł się, że nie.

— U szoferów jest dziecko — mówił — które marzy o piesku, a pani szoferowa, cóż to za miła kobieta.

Wypasiona szoferowa sama przyszła po pieska. Mówiła:

— Ładny psiupsiuniu, pódź tu, śliczny piesku! — ale z oczu jej patrzało źle.

SCEPTYCYZM

W domu, skąd oddano Białego, spotykam od czasu do czasu panienkę, która zbiera składki na przytułek dla psów. Panna Zofja opowiada nam z żalem o ludziach, którzy odmawiając datków, obsypują ją drwinami albo też czynią jej wymówki, że zbiera na psie przytułki wtedy, gdy ludzie bezdomni sypiają pod mostami, gdy dzieci nie mają dachu nad głową. Radzę jej, aby nigdy nie pozwalała wciągać się w długie rozmowy na owe śliskie tematy.

Panna Zosia opowiadała nam z wdziękiem, jak to przed wyjazdem do Golędzinowa, gdzie znajduje się właśnie ów psi przytułek, kupuje pieskom różne przysmaki: nóżki wieprzowe, kaszankę (jeszcze ciepłą) i całą torbę kości.

— Niema w tem nic dziwnego, nie jesteśmy wegetarjanami i nie walczymy o to, żeby zwierząt nie zabijać, lecz żeby nie dręczyć ich niepotrzebnie. W naszem Tow. Opieki nad Zwierzętami — mówi panna Zofja — jest przecież wielu myśliwych.

Na przytułek dam składkę i chcę żeby istniał. Tylko proszę już nigdy nie wspominać przy mnie waszych komilitantów myśliwych. Bo zły rozum szepcze mi wtedy, że jesteście heroldami bezsensu. Za przyjaciół swych uważacie tych, którzy zabijają zwierzęta dla sportu, dla zabawy, trafiając szczute stworzenie raz w oko, raz w krzyż, to znów w nerkę, a w przytułkach ratujecie psy przed zakładem oczyszczania miasta, gdzie chore, porzucone, zabłąkane zwierzę zgładza się w sposób bardziej humanitarny, niż zbłąkanego człowieka-skazańca.

Ważkim argumentem za powstawaniem przytułków ma być to, że wznosi się psom i koniom wdzięczność ludzka. Któż broni człowieka przed bratem-człowiekiem — jeśli nie pies? A kto ciężko pracuje dla nas — jeśli nie koń? Niestety, sprawa komplikuje się, gdy dochodzimy do wołu. Dlaczego płacimy mu rzeźnią za pracę równą końskiej? Trudno inaczej niż pobożnem westchnieniem okazać wdzięczność świni za mięso, pergamin i szczecinę, ale czemu baran za swą wełnę nie idzie na starość do przytułku? Dlaczego nie umieszczamy w nim kury za mozolne znoszenie jaj, a krowy za życiodajne mleko? Uważamy że koty pożerają myszy poto, żeby obronić śpiżarnie człowieka, i z wdzięczności oddajemy je do przytułku, natomiast owce, które zaopatrują te same spiżarnie w znakomite serki, nie wchodzą w kontyngent pensjonarjuszy.



Wspólny posiłek

Oswoić można świnię, gęś, królika, kozę, każde niemal zwierzę ssące i każdego ptaka. Dyrektor Muzeum Oceanograficznego w Monaco prof. Oxner pokazywał mi oswojoną rybę „Filip II", która podpływała do szyby akwarjum na dźwięk jakiegoś rybiego cip-cipu.

Ale któż chciałby wchodzić w zażyłe stosunki z istotą nęcącą nasze podniebienie? Chociaż bywają i takie wypadki. Pewna piękna pisarka poczęstowała nas kiedyś indyczką, która przed swem wystawieniem w roli potrawy znana nam była z opowiadań jako „kochana indysia", przyjaciółka, niemal powiernica. Zdaje się, że nie odbiegniemy od prawdy, mówiąc, że przytułki buduje się dla tych kochanych zwierzątek, które nie znajdują ostatecznego schronienia w ludzkim żołądku spowodu swego złego mięsa. Gdyby psy miały smak bażantów, nie byłoby psich przytułków.

Argumentacja moja wywołała istną burzę. Okazało się, że nie rozumiem najważniejszej rzeczy: tajemniczej więzi, jaka istnieje między człowiekiem a psem.

— W każdym psie bije serce, gotowe pokochać człowieka — powiedziała z zadumą w głosie pani Białego.

— W każdym bezpańskim kundlu drzemie absolutna wartość bezgranicznej przyjaźni — odezwała się panna Zofja.

— A przytem niema w nich kłamstwa, ich miłość, wierność, oddanie, to nie czcze słowa, to prawda, która rozczula naszą ludzką rozgadaną niedoskonałość — dodała pani domu, gładząc łaciaty pyszczek Zuli.

Zazdrosna Fifka przytuliła się do mnie ciepła, przymilna, głodna pieszczot — żywy argument, i to z tych mocnych, freudowskich: na korzyść psiej rasy. Uczucia macierzyńskie czy ojcowskie — faktem jest, że psy budzą w ludziach uczucia szlachetne. Dość gdy powiem, że głodny Wiedeń stawia schronisko dla psów za pół miljona szylingów, a tu u nas kochana pani Eugenja Antropowa zapisuje piękny plac w Wawrze pod budowę schroniska dla psów i koni.

— W przytułku naszym — mówi panna Zofja — będzie oddział dla kalek i emerytów, ferma wypoczynkowa dla koni, baseny kąpielowe, strzyżalnie dla psów kudłatych, których w lecie nie stać na fryzjera, a przedewszystkiem pomieszczenie dla psów bezdomnych. Tam przeniesie się pensjonarzy z przytułków w Warszawie i Golędzinowie. Cała rzecz w tem, żeby zebrać kilkanaście brakujących tysięcy na postawienie budynków. Potrzeba nam poparcia, propagandy w prasie — agituje mnie panna Zofja i namawia, żeby koniecznie zwiedzić przytułki prowizoryczne, gdzie najsmutniejsze historje o psach znajdują swój happy end.

U PSÓW

Na odcinku „obrony praw zwierzęcia i przyjaciela" zwyciężyliśmy my, ludzie porządni. Prawo jest za nami. Władza jest za nami. Istnieją rozporządzenia zabraniające męczenia zwierząt, i każdy policjant ma obowiązek udzielenia pomocy obrońcy dręczonego psa, czy konia. Zwierzęta w niczem nie przeszkadzają silnym tego świata, a stanowią doskonały upust dla dobroci tkwiącej w każdym człowieku. Kaligula, Bismarck, Napoleon — każdy z nich ma w historji muchę, której nigdy nie skrzywdził, ukochanego psa i konia, co „grzebał nóżką".

Do przytułku w Golędzinowie można przyprowadzić psa lub kota i zostawić go tam bez żadnej opłaty. Można zebrać psy wałęsające się po ulicach, skazane na hyclowski stryczek, wsiąść w kolejkę pod Mostem, wysiąść na pierwszym przystanku i oddać zwierzęta pod dobrą opiekę.

W ogródku i w zagrodach, oddzielonych drucianą siatką, bawią się, leżą, lub włóczą leniwie najróżniejsze typy i rasy. Jest tam piękny chart zgubiony czy porzucony, jest wyżeł, którego pan opuścił w chorobie, jest i cała chmara kundelków rozmaitych rozmiarów i maści. Są psy-kaleki, beznogie, wyrzucone z domu na szmelc, i zdrowe burki, których jedynym defektem było zbyt liczne rodzeństwo. Panie, opiekunki, przyjeżdżają do nich codziennie, na zmianę, a siedzą w przytułku cały dzień. Pamiętają imię każdego z sześćdziesięciu psów.

— Prokurator! Nie waż się gryźć Pokraki! — woła pani, która właśnie dziś ma dyżur.

I tłumaczy kundlowi, że Pokraka jest biedna, że Pokraka zasługuje na litość; istotnie, ma zaropiałe oczy, nogi pokręcone reumatyzmem, cóż za nieszczęsne stworzenie i dlaczego ten podły pies uwziął się na nią?

Opiekunka chwali dobre pieski, złym robi wyrzuty, posłuszne nagradza, dla chorych wybiera najlepsze kąski. Promienieje dobrocią i zadowoleniem. A mnie wciąż jakieś porównania plączą się po głowie, i wciąż sprawy ludzkie przeplatają się z psiemi. O ileż milej jest pomagać psom niż ludziom. Szczególnie jeśli z poratowanymi trzeba pozostać w kontakcie Bo pan X, którego się wspomogło, staje się nagle panem Y-em, innym człowiekiem o innych wymaganiach, nieraz gnębiącym swego Zeta. Jałmużna jest zdrowa tylko dla tego, kto ją daje.

W Golędzinowie trzeba było pół godziny czekać na kolejkę. Deszcz padał. Ludzie tłoczyli się pod daszkiem stacji, chętni do rozmów. Rzucam słówko o przytułku, żeby mi się Pelcowizna wypowiedziała w tej sprawie. Tłusta pani, obciśnięta perkalem w słoneczniki naturalnej wielkości, drwi sobie z filantropek.

— Moi państwo, ktoby o tych warjatkach nie słyszał? Ludzie zdychają z głodu, a one psy zamiast jeich rakarzowi dać, trzymają i karmią. Obraza boska.

A potem opowiadała jakie to psy bywają szlachetne, naprzykład jej pies, wzór cnót. Mówiła o nim z większym entuzjazmem niż o „zdychających ludziach", a przecież z przytułku kpiła, powtarzając: „co pies, to pies", i raczej zyskiwała sobie aplauz obecnych. Tylko elektromonter, oparty o rower, z pewnością siebie inteligenta, zaprzeczył jej kategorycznie:

— Pies jest pożyteczne stworzenie i wymaga pielęgnacji. Naprzykład tłuszczyk psa dla płucowych najlepsze lekarstwo. Każdy aptekarz to pani powie. I panie opiekunki tam pewnie, jak który tłuściejszy, tłuszczyk z niego wytapiają.

Przez chwilę mam wrażenie, że przemawia ludożerca.

W kolejce czytam kalendarz wydany przez Tow. Opieki nad Zwierzętami. Jest w nim artykuł o pożytecznej działalności psów. Autor polemizuje z tymi, którzy twierdzą, że psy są luksusem. Otóż psy — ujmuje się za swoimi pupilami autor — oddają nieocenione usługi podczas wojny. Podczas pokoju ćwiczy się psy przeznaczone do przenoszenia amunicji, tropienia i t. d. „Na instruktorów wybiera się ludzi cierpliwych o charakterze łagodnym". Wiadomo bowiem, że ze zwierzęciem należy postępować stanowczo, lecz łagodnie. Krzykiem, hałasem, a najmniej biciem do żadnych pozytywnych wyników się nie dojdzie.

— Panie konduktorze, — wołam, czując, że ze mną źle, — czy niema tu gdzie wody? Potrzebny mi nagwałt zimny okład na głowę.

ORGANIZACJA I SZCZĘŚCIE INDYWIDUALNE

Do przytułku na Wawelskiej towarzyszyła mi Pani, która oddała Białego pięknej szoferowej. Był upał, i psie głosy, dobywające się zza parkanu, brzmiały bardzo żałośliwie.

— Szczekają na inną melodję, niż pieski domowe — zauważyła moja towarzyszka, pociągając nosem. — Całe szczęście, że Biały dostał się do prywatnego domu, — dodała, — no i szoferowa jest miłą kobietą — powtarzała z rezygnacją nie swoją opinję.

Dzwonimy, otwiera nam dozorca niezabudowanego placu, a jednocześnie dyrektor przytułku, za nim pędzą dwa psy, dwa pewne siebie wilki, najładniejsze z całego towarzystwa, a między niemi czy nas wzrok nie myli? — nieprzytomny, niepewny tak jak i my — czy wierzyć własnym oczom? — Biały, piesek biedny, piesek odrzucony, chudy, jeszcze dłuższy i jeszcze niższy niż wtedy, gdy oskarżony o brak proporcji, skazany został na banicję.

— Biały, Bielutki, Biały — wystarczyło zawołać trzy razy, żeby usunąć wszelkie wątpliwości, że to on. Skąd się tu wziął? Przecież stale przychodziły biuletyny o jego dobrem zdrowiu. Ktoś go znalazł na ulicy jak wałęsał się głodny i spragniony. A, podli ludzie, jacy z was hycle! Jacy oszukańcy!

Nie znoszę antropomorfizmu, nietylko dlatego, że fałszuje rzeczywistość, ale i dlatego, że zubaża nasze pojęcia o świecie. Ale nie mogę zamykać oczu na fakty. Otóż Biały dopadł swojej Pani, wtulił się w jej suknie, a potem przysiadł obok niej tuż, blisko, i z oczu spłynęły mu krople, które u ludzi zwykliśmy nazywać łzami. Dozorca, jego żona i synek w milczeniu patrzyli na to dziwowisko. O zwiedzaniu przytułku mowy być nie mogło. Trzeba było coś uradzić. Trzy psy w jednem mieszkaniu — to rzecz niedopomyślenia. A zresztą Fifka i Zula zagryzłyby go na śmierć. Patrzę na Białego prawie że ze złością. Czego jeszcze pragniesz, psie, ty, który masz dach nad głową w zimie, cień w lecie, i miskę pełną żarcia. Wyprowadzasz mnie z równowagi. Żyjesz tu przecież w dobrze zorganizowanym świecie, we wspólnocie z istotami twego gatunku. Zato my, ludzie, przelewamy krew. I czego ci się jeszcze zachciewa? Imponderabiliów, psi synu?



Nocleg

Pani płacze, aż wstyd. Co tu robić? Dla świętego spokoju radzę opłacić stróżową, żeby codziennie kupowała Białemu bodaj kurczaka na obiad i głaskała go co godzinę. Ja zaś obiecuję sprawdzać, czy humor mu dopisuje. Dozorczyni, zadowolona z planu, chce pokazać, że pies ją lubi, i bierze go na ręce — a ten szarpie się i gryzie, jakby odmieniony, jakby nie ten sam. Psy przytułkowe zbiegły się, otoczyły nas kołem, jak gapie podczas wypadku. Nie umiem już patrzeć na nie jak na gromadę golędzinowską, widzę jak każdy zosobna różni się od piesków pańskich. Ani ogonami nie kręcą, ani na grzbiet się nie kładą, ani łapy nie podają — jakby je kto odarł z psiego wdzięku. A tymczasem Biały liże ręce pani, staje na dwóch łapkach, ociera się o nogi i patrzy pytająco w oczy: co będzie dalej?

— Jeszcze się dla ciebie coś wymyśli, Bielutki — szepcze mu pani, ale to Białego nie pociesza.

Zrozumiał, że go pani zostawia, kładzie się napłask, wzdycha raz jeden głęboko, a potem brudne białe futerko ani drgnie, jakby w niem życia nie było. Nie obejrzał się nawet za nami.

Wychodzimy. Pani skręca w Suchą, ja zaś wracam jeszcze na Wawelską, żeby zobaczyć przez sztachety, co też kundel robi po naszem odejściu. Usiadł przy krzesełku, na którem przed chwilą siedziała Pani, i wyje. Wyje aż uszy puchną. Okropność. W przytułku, gdzie ma wszystko, jest nieszczęśliwy jak psy złapane przez hycla!

* * *

Syci panowie, zamożne panie — niepotrzebnie martwicie się już dzisiaj, że w przyszłym świecie, nie znającym głodu ni wojny, — nudno będzie żyć. Nieszczęścia, wchodzące w zakres praw przyrody, nieujarzmione przez żaden ustrój, trwać będą póki świat światem, skute z romantyczną dolą istot świadomych.

W. Ł. DUROW

Czwórka wielkich artystów cyrkowych*)

Lord był to czcigodny pies, wielki saint-bernard, którego portrety w świetnie przez niego granej roli starego opiekuna-podagryka rozeszły się po całej Europie.

Rolę tę grał z wielkiem przejęciem i został sfilmowany; film ten dotychczas pokazuję publiczności. Ale o tym filmie i o zdolności zwierząt do gry scenicznej opowiem osobno.

Lorda wziąłem jako siedmiomiesięcznego szczeniaka i przywiozłem z Karlsbadu. Z Lordem robiłem wiele doświadczeń hipnotycznych.

Chcę powiedzieć kilka słów o procesie sugestjonowania zwierząt. Żeby zwierzę zasugestjonować, należy koniecznie najpierw przygotować je do tego procesu; zwierzę powinno czuć, że wola człowieka jest niezłomnem prawem, któremu musi się poddać. Jeżeli zwierzę nie jest pozbawione woli, zgóry można powiedzieć, że doświadczenie się nie uda.

Jeden z moich znajomych chciał zrobić takie doświadczenie sugestji z moim psem, który leżał pod kanapą. Zawołał go po imieniu, ale pies ani się ruszył. Wtedy zaczął do niego mówić pieszczotliwie, chcąc go wywabić spod kanapy. Ale i to się nie udało. Doświadczenie było zepsute. Przy pierwszym okrzyku w głosie jego powinna była zabrzmieć władcza nuta rozkazodawcy, któraby sparaliżowała wolę psa i uczyniła go posłusznem narzędziem w rękach człowieka.

Weźmy dla przykładu proste zadanie: zasugestjonujmy psu, żeby podszedł do stołu i wziął leżącą na nim książkę.

Wołam Lorda. Podchodzi. Ujmuję jego łeb dłońmi, jakby podkreślając tem, że jego wola znajduje się w mojej władzy, że musi całkowicie stłumić swoją wolę, być tylko bezmyślnym wykonawcą moich rozkazów. Ażeby to osiągnąć, wpijam się surowem spojrzeniem w jego oczy, które jakgdyby zrastają się z mojemi.

Wola psa jest całkowicie poddana woli człowieka; jest jakgdyby sparaliżowana. Wytężam wszystkie siły moich nerwów, skupiając się na jednej myśli do tego stopnia, że zapominam o wszystkiem co mnie otacza.

A ta myśl polega na tem, że muszę wbić sobie w głowę zarysy interesującego mnie przedmiotu (w danym wypadku stołu i książki) do tego stopnia, żebym, gdy oderwę spojrzenie od danego przedmiotu, miał go wyraźnie przed oczyma.

W ciągu mniejwięcej pół minuty dosłownie „pożeram" przedmiot oczami, zapamiętuję jego najdrobniejsze szczegóły, fałdę na serwecie, pęknięcie na okładce, starte litery na grzbiecie, i kiedy to wszystko dobrze sobie zapamiętałem, odwracam Lorda do siebie i patrzę mu w oczy, a raczej poza oczy, gdzieś w głąb. Wbijam w mózg Lorda to co utkwiło w moim mózgu. W myśli rysuję mu krok za krokiem całą jego drogę: część podłogi, wiodącą do stołu, nogi stołu, serwetę i wreszcie książkę.

Pies zaczyna się denerwować i niespokojnie stara się uwolnić od narzucanych mu czynności.

Wówczas rozkazuję mu w myśli: „Idź".

Lord wyrywa się, jak maszyna, podchodzi do stołu i bierze zębami książkę. Zadanie zostało wykonane. Lord czuje ulgę, jakby spadł z niego uciskający go ogromny ciężar, i stopniowo uspokaja się.

Zresztą, istota sugestji jeszcze dotąd nie została całkowicie zbadana przez naukę i jest narazie zagadką.

Sugestjonować można, oczywiście, nietylko psy, ale i inne zwierzęta. Słynny uczony francuski Charcot oczami zatrzymywał rozjuszonego byka.

Lord nietylko świetnie poddawał się sugestji — nauczył się wymawiać kilka skoordynowanych dźwięków.

— Jaka jest pierwsza litera w alfabecie, Lord? — mówię.

— A — odpowiada Lord.

Mówię mu, żeby wypowiedział słowo „mama", i pies nieco chrapliwie mówi „mama". Widać, że wysila się, żeby sobie poradzić z tym chytrym wynalazkiem ludzkim — słowem.

Nauczyłem Lorda tańczyć i grać różne scenki. Był świetnym aktorem, taksamo jak fox-terrier Pik, Ryżka i Szpic, z rasy szpiców.

Lord rozwiązywał łatwe zadania szczekaniem.

Publiczność wykrzykuje jakąś jednoznaczną cyfrę. Lord szczeka tyle razy, ile jest jedności w tej cyfrze. W taki sam sposób mówi sumę przy dodawaniu i różnicę przy odejmowaniu. Oczywiście, w myśli pomagam mu w porę się zatrzymać.

Inne psy, których imiona wspomniałem, były także słynnymi artystami.

Szpic był mistrzem w graniu komedyj — doskonale zdychał, udawał pijanego i zataczał się po arenie. Uczestniczył w sądzie nad sobą, według psich praw, i skazawszy siebie na więzienie, uciekał z łańcucha, potem robił szereg psot i rzeczy niedozwolonych i wracał do łańcucha, jakby nigdy nic, wsuwając pyszczek w obrożę.

Jednym z wyjątkowo uzdolnionych artystów był mój mały fox-terrier Pik. Zgrabny, świetny tancerz, robił w powietrzu takie skoki, pokazywał takie ładne „pas", że każdy tancerz baletu mógłby mu pozazdrościć.

Fox-terriery bardzo łatwo uczą się chodzić na przednich łapkach; są bardzo giętkie i zdolne do akrobatyki. Taki był i mój Pik.

Bardzo wyraźnie, wyraźniej niż Lord, wymawiał słowo „mama", był bohaterem mojej psiej tragedji „Jak piękne, jak świeże były róże".

Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, Pik padł ofiarą swego wyrafinowanego smaku.

Był smakoszem i lubił ostre rzeczy.

Po otrzymaniu ode mnie obfitego obiadu, Pik lubił chodzić na poszukiwania odpadków do śmietników i pewnego razu zjadł coś i otruł się.

Pik był pierwszym psem, który unieśmiertelnił swoje imię — pojawiło się ono w poważnej pracy naukowej prof. Biechtieriewa, który robił z nim doświadczenia z dziedziny sugestji.

*) Ze wspomnień „Moje zwierzęta".

Piękny pies



fot. Waghalter



fot. Waghalter



fot. Waghalter

Pies jako pacjent

Stosunek psa do swego pana jest już od wieków ustalony, dałoby się nawet powiedzieć — niezłomny. Powstał on jeszcze w zamierzchłej przeszłości dramatu życiowego przy zetknięciu się człowieka z psem. Zawarty został wówczas miedzy temi dwoma żyjącemi istotami najdziwniejszy, najszlachetniejszy i zarazem najpiękniejszy z paktów — pakt wiecznej przyjaźni i pomocy. Należy specjalnie podkreślić, że pies w najbardziej lojalny sposób pakt ten zawsze wypełniał i wypełnia; człowiek natomiast ma pod tym względem nieraz ciężkie przewinienia. Wzamian za całkowite, bez wszelkich zastrzeżeń, oddanie się i przyjaźń, człowiek bardzo często odpłaca psu niezasłużoną krzywdą. Jest to zresztą dla psa rzecz stara i znana. Przywykł do pewnych niesprawiedliwości swego kapryśnego i nerwowego pana i uważa je, że się tak wyrażę, za sprawy smutne, ale ściśle rodzinne.

Pies przeważnie nie pozwoli się krzywdzić obcemu. Wie również dobrze, że w razie niebezpieczeństwa może liczyć na pomoc swego pana. Dlatego też dziwna i niezrozumiała w świadomości psa jest sytuacja kiedy wbrew ustalonym zasadom, pan wydaje go całkowicie w ręce lekarza.

Pan wprowadza psa do gabinetu lekarskiego. Pies z wyjątkową szybkością orjentuje się, że nie jest to zwykła wizyta, przy której ma on być przypadkowym asystentem. Błyskawicznie zdaje sobie sprawę, że w danej sytuacji on właśnie spośród obecnych jest przedmiotem centralnego zainteresowania. Zazwyczaj przycicha, czekając na dalszy bieg wypadków. Wyczuwa instynktem, że za chwilę obcy człowiek zechce nim zawładnąć, i nie rozumie dlaczego pan jego nie bierze go w obronę. Po upływie jednak pewnego czasu uspokaja się i zaczyna zdawać sobie sprawę, że wszystkie zabiegi lekarza skierowane są w kierunku ulżenia jego cierpieniom, że mają za cel — jego dobro. Bezpośrednią na to reakcją jest wciąż potęgujące się u psa zaufanie do lekarza i uległość przy dokonywaniu oględzin, opatrunków i t. p. Należy zaznaczyć, że jakkolwiek cierpliwość i opanowanie się psa przy bolesnych zabiegach nie dorównywa zachowaniu się dorosłego człowieka, to jednak można je śmiało porównać z reakcjami i odruchami dziecka.

Miałem liczne przypadki, że przybywający do mego gabinetu pies po kilku następujących po sobie wizytach sam zajmował odpowiednią postawę na stole opatrunkowym, z zaufaniem czekając na rozpoczęcie zabiegu. Wiem również z wiarogodnych opowiadań, że szereg pacjentów, mając przez pewien okres czasu ustalone godziny wizyt, w określonym czasie oczekiwały wyjścia z domu, a puszczone ze smyczy, same kierowały się w stronę mego domu.

Zdarza mi się dość często, że pacjenci poznają mnie na ulicy, radośnie mnie witają i wszelkiemi dostępnemi im sposobami wyrażają swoje zadowolenie.

Widzimy więc, iż psy nietylko zdają sobie sprawę, że są chore, ale również, że są leczone i pielęgnowane w chorobie.

Na tem nie kończy się jednak wyjątkowa zmyślność tych zwierząt. Psy wiedzą również o tem, że choroba smuci i niepokoi ich właścicieli.

Mówiąc o psach chorych, chcę kilka słów powiedzieć o psach symulujących chorobę i o psach lubiących się pieścić.

Miałem — jako pacjenta — dwuletniego wyżła, który przed każdem polowaniem symulował kulawiznę, postękiwał, pokładał się — wogóle udawał chorego.

Znam psy, które w tak oczywisty sposób przesadzają swoje cierpienia podczas choroby, że najzupełniej przypominają rozpieszczone dzieci. Spryciarze wiedzą, co znaczy skoncentrować na sobie uwagę otoczenia, że płyną stąd pieszczoty i łakocie.

Odosobnioną grupę pacjentów stanowią psy, które bezwzględnie wierzą lekarzowi i całkowicie poddają się jego sugestji. Psu z tej grupy wystarczy nałożyć opatrunek, który w najmniejszej mierze nie krępuje jego ruchów, aby go wytrącić z równowagi. Pies taki, będąc najbardziej rozbawiony, momentalnie uspokaja się, kładzie się i uważa się za chorego.

Mówiąc o psie jako o pacjencie, przedstawiłem zachowanie się psów podczas choroby. Niezawsze jednak choroba ustępuje, i pomimo leczenia, następuje śmierć. Chcę powiedzieć kilka słów jak pies kończy życie.

Korzystam z okazji, aby wyrazić swój pogląd na niestosowne, dość częste, używanie słów „zdechł jak pies" w sensie podłej śmierci. Powiedzenie to jest najzupełnie bezmyślne i niewłaściwe w stosunku do psa, wiernego, współżyjącego z nami przyjaciela. Ci co mieli nieszczęście być przy śmierci ukochanego psa, najlepiej odczuli jak pies, zwłaszcza stary pies, godnie kończy życie. Gdy nadchodzi niedwołalna, przełomowa chwila, pies czuje zbliżanie się czegoś, co musi i powinno nastąpić. Zachowuje się wtedy zupełnie taksamo jak przed każdym innym aktem życiowym, którego treści jeszcze nie zna. Instynkt wskazuje mu poddać się temu aktowi bez bojaźni, z całą pokorą i uległością. Oddala się od wszystkich, wybiera najbardziej ciemne i spokojne miejsce i oczekuje tego co jest koniecznym udziałem wszystkiego co żyje. W ostatnich chwilach oczy psa napełniają się niewysłowioną łagodnościa i dobrocią. Gasnący jego wzrok do ostatnich sekund życia wyraża tkliwość i przywiązanie.

Maksymiljan Łabędź,
dr. med. wet.

Odżywianie i pielęgnowanie młodego psa

Kwestja odżywiania i pielęgnowania dziecka była zawsze w medycynie ludzkiej jednem z najważniejszych zagadnień, natomiast w medycynie weterynaryjnej, jeżeli chodzi o psa, dziedzina ta była w zupełnem zaniedbaniu, jakgdyby nie miała wpływu na rozwój młodego organizmu. Tymczasem odżywianie i pielęgnowanie psa w okresie jego rozwoju ma doniosłe znaczenie dla jego stanu zdrowia w okresie dojrzałości. Im więcej poświęcimy uwagi wychowaniu naszych czworonożnych przyjaciół, tem zdrowsze, silniejsze i odporniejsze będziemy je mieli na wszelkie schorzenia.

Zdarzają się i dziś już wypadki, że nabywca zdrowego szczeniaka zgłasza się do lekarza o zbadanie i o odpowiednie wskazówki co do odżywiania i pielęgnowania psa. Ale to są tylko pojedyńcze wypadki, gdyż przeważnie każdy chowa psa podług wskazówek laików, nie wiedząc, jaką krzywdę wyrządza zwierzęciu. Np. bardzo często słyszy się, że psu nie wolno dawać mięsa do roku, gdyż dostanie nosówki; nie wolno go kąpać, bo „sparszeje"; dają szczeniakom do roku siarkę, jakoby chroniącą od nosówki, — gdy wszystko to są twierdzenia, nie oparte na wiedzy lekarskiej a szkodliwe dla rozwoju młodego organizmu.

W chowaniu psa poza odpowiedniem odżywianiem równie ważną rolę odgrywa środowisko, w jakiem się pies znajduje. A więc pies, chowany w dużem mieście, wymaga innej pielęgnacji niż pies chowany na wsi, duże bowiem znaczenie posiada słońce, ruch i powietrze, czego pozbawiony jest pies w wielkich skupieniach ludzkich. Choćby z tego powodu, że na wsi przez ciągłe przebywanie na świeżem powietrzu staje się odporniejszy na wszelkiego rodzaju przeziębienia, natomiast pies dużego miasta musi być odpowiednio hartowany od małego szczenięcia, aby nie tak łatwo podlegać schorzeniom płucnym i nosogardzielowym.

Niemniej ważnym czynnikiem w chowaniu psa są warunki higjeniczne, a przedewszystkiem kąpiel. Mylne jest twierdzenie, z którem się ciągle spotykamy, że psa nie wolno kąpać do roku. Wręcz odwrotnie: należy kąpać, tylko trzeba się liczyć ze stanem wrażliwości skóry poszczególnych jednostek oraz odpowiednim doborem mydła. Trzeba pamiętać, że skóra każdego psa jest o wiele wrażliwsza i czulsza niż skóra ludzka. Oczywiście, że tych kilka słów nie wyczerpuje poruszonego przeze mnie tematu, chciałbym jedynie zwrócić uwagę miłośników psów na doniosłość tego zagadnienia.

Włodzimierz Salecki,
lekarz weterynarji.

Psy o sobie

Tytuł „Nous, les chiens" *) doskonale przystaje do treści książki. Mówi on, że będzie tu mowa o psach, że książka będzie skomponowana w formie psiej relacji i wreszcie treści tej w żadnym kierunku bliżej nie określa. Ta właśnie nieokreśloność jest tu wysoce trafna. Trudno bowiem powiedzieć coś krótko a ściśle o treści książki ponad to, że jest to książka o psach. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że będziemy tu mieli do czynienia z autobiografją psa: luksusowej mandżurskiej suczki chow-chow, żyjącej w Paryżu, ale pomijając już to, że z połowę książki wypełniają psie refleksje i konfrontacje ludzi z psami, nie idzie tu nigdy, jakby przystało na autobiografję, o jakiegoś *konkretnego*, indywidualnego psa, ale o psa wogóle. Podobnie „on", właściciel, nie jest niczem więcej jak tylko schematem idealnego właściciela psa. I w wyborze faktów widać starania o typowość: pierwsze wrażenia po przyjściu na świat, poznanie nowego psa, sceny jedzenia, spaceru, zabawy, pies w samochodzie, w pociągu i nad morzem, w czasie choroby i u lekarza, ruja, poród, macierzyństwo. Jak widzimy, cała encyklopedja zwykłych, typowych scen z życia psa z „dobrego domu".

Ten „żywot psa poczciwego" poprzeplatany jest zabawnemi choć czasem dosyć łatwemi rozważaniami na temat życia ludzkiego, widzianego z psiej perspektywy, a więc wyłuskanego z ludzkich konwenansów, i rozważaniami na temat stosunku ludzi do zwierząt, nietylko psów. Mamy tu nawet scenę nocnego sejmu zwierząt, skarżących się na złe traktowanie przez człowieka.

Dwa niebezpieczeństwa grożą takiemu uczłowieczeniu psa, przemawiającego ludzkim językiem i myślącego ludzkiemi kategorjami: — niebezpieczeństwo sentymentalizmu i sztuczności, przywodzącej na myśl „uczłowieczone" pieski z budy cyrkowej w trykotach i cylinderkach, podskakujące na dwóch łapach w takt muzyki. Tamto z tych niebezpieczeństw przezwyciężył autor, o tem kazał nam w znacznej mierze zapomnieć — siłą swojego dowcipu. Dowcip ten — jest go w książce bardzo dużo — zdobywa się niekiedy na pierwszorzędne koncepty, jak np. pomysł freudowskiej kompensacji: psu śni się świat, w którym ludzie są ujarzmieni przez zwierzęta (inna rzecz, że w wykonaniu tego pomysłu jest za dużo szczegółów rzeźnickich); albo wzmianka o psie, który zwarjował po ucięciu ogona: uważa się za psa Alcybjadesa i mówi że ma 2 000 lat; albo takie zdanie — bardzo typowe dla rodzaju dowcipu Acharda: „j'adore auto, on voit les autres chiens à pied". Jak widzimy, jest to zawsze dowcip, narzucający psu takie czy inne właściwości ludzkie.

Innego niebezpieczeństwa — sentymentalizmu — udało się Achardowi uniknąć nawet przy takim temacie, jak bicie. Achard bicie psa poprostu wyśmiewa:

„Mamy twardą skórę. Dlatego „ich" pierwszych bicie męczy. Wtedy mają wyrzuty sumienia i mówią: „Byłem nie w humorze i dlatego skrzywdziłem go". Rozumowanie typowo ludzkie i pełne próżności. I oto zaczynają nas pieścić. W gruncie rzeczy sami nie wiedzą czego chcą. Korzystamy z tej słabości, aby ich liznąć. Jeden ruch językiem więcej czy mniej — liże się przecież i stare kości. Im nic więcej nie trzeba, ich głupia pycha syci się, są dumni, że nas poskromili i trochę zawstydzeni, że okazali się bardziej brutalni od nas. I oto potop: „Moja psinko! Moja ciuciu!" i innych dziecińștw".

W tej samej tonacji utrzymane są też sceny z życia psiego:

„Wszystkie psy, które będą mnie czytały, zrozumieją, kiedy im powiem o rozkoszy, gdy uda mi się czasem wymknąć, w chwilach kiedy napływ atawizmu pcha mnie naprzód, naprzełaj drogi, krzaków, djabli wiedzą czego, w wolność...

„Mój" wścieka się wtedy, krzyczy na mnie aż do zachrypnięcia. Co za rozkosz.

Przy wyjściu jestem zawsze bardzo rozsądny, aby wzbudzić w „nim" zaufanie. Potem, kiedy już jestem na tyle daleko, że mnie nie będzie odprowadzał, każę się ciągnąć. W pewnym momencie ma tego dosyć i odpina mnie. Natychmiast skaczę, tarzam się. On jest zachwycony. Woła mnie. Uśmiecham się, kiwając ogonem i kładąc uszy po sobie. Jakby go kto na sto koni wsadził.

Tę chwilę wybieram, aby wolnym krokiem powolutku się oddalić. Odwracam się potem, aby się nacieszyć spektaklem: spojrzenie „jego" jest zaniepokojone.

— Flow!

Uciekam wtedy galopem i od czasu do czasu zatrzymuję się, aby zobaczyć jak zadyszany krzyczy:

— Flow! Wstrętne psisko! Popamiętasz!

Teraz kiedy już wiem, że lanie jest nieuniknione, odwlekam je możliwie najdłużej, korzystam ze szczęścia i biegnę pędem przez pole.

Wtedy „on" biegnie, albo, chcąc mnie oszukać, robi do mnie zgłupia frant miny i udaje że chce mi dać cukru. Widzę, że to co wyciąga ku mnie, to kamień albo papieros. Mówi:

— Chodź, mój chow-chow! Cukru! Chodź prędko do twojego tatusia. Chodź, piesku!

Też pomysł!".

Amicocanis.

*) *Paul Achard*. Nous, les chiens. Préface de *Tristan Bernard*. Paryż, Editions des Lettres Françaises, 1929; str. 292 i 4nl.

Wiadomości zagraniczne

Ponura statystyka. Jak donosi „Le Temps", na Węgrzech zabito w ub. r. 44 820 psów i 49 730 kotów. Przyczyną tej masakry było, iż chłopi węgierscy nie topili szczeniąt, ale odchowywali je a następnie wyrzucali z domów. Zwierzęta dziczały, szybko rozmnażały się i zaczęły robić skuteczną konkurencję ludzkiemu łowiectwu, grożąc wytępieniem kuropatwom, bażantom i zającom. Aby tego uniknąć, zorganizowano przeciw nim krucjatę.

Psy i śruba podatkowa. Niemieccy hodowcy psów skarżą się na wysokie podatki odstraszające od nabywania psów. W r. 1925 płacono w Niemczech 30 mk. rocznie od psa, później taksa zróżnicowała się i podskoczyła do 70, 140 i i 280 mk. od psa, a chociaż w r. 1932 została nieznacznie obniżona do 60, 120, 240 mk. od psa, jest ona dalej odczuwana przez hodowców jako przykry ciężar. W jednym np. Magdeburgu spowodu podwyższenia podatku ilość psów spadła w czasie od r. 1925 do 1933 z 11 000 na 5 000.

Niemiecka literatura kynologiczna. Nakładem Neumanna w Neudamm ukazała się w szóstem wydaniu książka Franza Hedera „Wie ich meine Hunde dressierte" (z 25 ilustracjami) i książka Gustava Schultza „Wie soll sich mein Hund heissen?", przynosząca tysiąc starych i nowych zawołań psich, ułożonych w porządku alfabetycznym.

Pies i szakal. W wiedeńskiem piśmie „Unsere Hunde" ukazało się obszerne, bogato ilustrowane studjum o psie i szakalu dr. Emila Haucka.

Międzynarodowy związek klubu foksterierów. W ramach brukselskiej wystawy światowej, „Société Royale St. Hubert" urządziło pokaz psów. Przy okazji pokazu odbyły się obrady przedstawicieli klubów hodowców foxterrierów z Belgji, Francji, Holandji i Włoch, które doprowadziły do stworzenia międzynarodowego związku klubów.

Angielskie pokazy psów w grudniu. Kalendarzyk angielskich pokazów psów w grudniu liczył 48 pokazów: 3 „open shows", 5 „limited shows" i 40 „sanction shows".

Wystawa jubileuszowa. W lutym b. r. odbędzie się w Anglji u Crufta pięćdziesiąta jubileuszowa wystawa psów — Cruft's Show. Wystawy te, zorganizowane po raz pierwszy w r. 1886 przez Charles'a Crufta, cieszą się opinją reprezentacyjnych wystaw angielskich. Do splendoru ich przyczyniła się królowa Wiktorja, która w r. 1891 po raz pierwszy wystawiła swoje psy u Crufta. Odtąd niemal co roku psy królewskie brały udział w jego pokazach. Wystawy Crufta wybitnie przyczyniły się do podniesienia rasy hodowanych w Anglji psów, a także ich cen. Przed powstaniem „Cruft's Shows" cena stu funtów za psa była czemś niesłychanem, później trafiało się, że wystawiony pies szedł za zgórą tysiąc funtów. Szczególnie wysokie ceny płacili Amerykanie. W ostatnich latach pokazywano na każdej z dorocznych wystawa Crufta po około 4 000 psów. Dla porównania warto przytoczyć, że z ostatnio zorganizowanych wystaw brukselska obejmowała 840 psów, luxemburska — 230 psów, magdeburska— 204 psy.

Jeden miot z dwóch ojców. W pismach angielskich toczyła się niedawno polemika na temat, czy suka może być do jednego miotu zapłodniona przez dwa różne psy. Z polemiki wynika, iż wypadki takie są niezmiernie rzadkie, niemniej może się trafić, iż suka raz już zapłodniona zostaje po upływie trzech, czterech dni zapłodniona powtórnie przez drugiego psa i wydaje na świat szczenięta, pochodzące w części od jednego, a w części od drugiego z ojców. Drugi samiec nie ma w takich wypadkach żadnego wpływu na szczenięta, wywodzące się od jego poprzednika.

Ożywione serce zmarłego psa. Uczonemu amerykańskiemu, dr. Robertowi Cornish, udało się po kilku minutach ożywić serce zmarłego psa. Pies powrócił sczasem całkiem do zdrowia, ale — jak informuje psi plotkarz londyńskiego „The Dog Illustrated" — „każdy inny pies, który zbliżał się do niego, jeżył się, warczał i uciekał ze strachem".

Czy pies przeżywa marzenia senne? Zdawałoby się, że tak — skoro porusza we śnie łapami, głową, ogonem, warczy. Tymczasem, jak dowodzi w berlińskim dwutygodniku „Der Hund" prof. Baege, wszystkie te odruchy dadzą się sprowadzić do odruchów automatycznych. Dla ich wytłumaczenia nie musimy wcale przyjąć istnienia u psa wyobrażeń sennych, tem bardziej, ze nic nie upoważnia nas do przyjęcia, iż pies zdolny jest do reprodukowania samodzielnych wyobrażeń, bez czego oczywista marzenia senne są nie do pomyślenia.

Psy i aligatory. W Madagaskarze żyje dużo dzikich psów. Ich śmiertelnymi wrogami są żyjące w tamtych rzekach aligatory, które pożerają psa, gdy trafi mu się przepływać przez rzekę. Aby się obronić od aligatorów, psy wzięły się na następujący kawał: gdy muszą przepłynąć przez rzekę, zbierają się większem stadem i wyją tak długo, aż zwabione tem wyciem aligatory z większego odcinka rzeki nie zgromadzą się na jednem miejscu. Wtedy szybko biegną wgórę lub wdół rzeki i pewne, iż powoli poruszające się w wodzie aligatory nie dogonią ich, bezpiecznie przepływają na drugi brzeg.

Pies w jazz-bandzie. Praski weterynarz, dr. Know, posiada psa alzatczyka, który jest członkiem orkiestry jazz-bandowej. Pies akompanjuje muzyce, bijac w bęben pałeczkami, przywiązanemi do przednich łap.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1,20 kwartalnie, zagranicą zł. 1,50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe. OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerok. 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI